

Brzmiała ona w następujący sposób:

„Łaskawy Panie!

Dołączam potrzebne panu pozwolenia, które pan zechce zalegalizować podpisem sędziego śledczego, którego równocześnie zawiadamiam telefonicznie o przybyciu Pana...”

— Postaram się go zbudzić jak najwcześniej. — pomyślał sobie Allan. — Sędzia nie powinien spać długo.

— Mój Jakóbie — zwrócił się do posługacza — oddaście mi dobrą przysługę. Pozwólcie mi za to podziękować wam szczerem uściśnieniem ręki... Potem, bądźcie spokojni o waszą przyszłość. Pomówię o tem z panią de Kermor. Bądźcie dobrej myśli... Życie ma swoje złe i dobre strony. — Mówiąc to, Allan ujął serdecznie rękę starego i odprowadził go do drzwi, zapewniając go o swojej życzliwości i sympatii.

I stary Jakób, pokrzepiony cokolwiek na duchu, powrócił do swojej dzielnicy, gdzie resztę nocy strawił na czuwaniu przy zwłokach córki, którą nazajutrz pochować miano na skromnym cmentarzu w Saint-Quen.

### Specjalna rozmownica.

Tego samego rana Allan przywdział tradycyjny swój popielaty garnitur i wyszedł spiesźnie na ulicę.

Sędzia śledczy, którego zaskoczył jeszcze w łóżku, podpisał natychmiast przedstawione mu papiery i już o godzinie dziewiątej oczekiwał Allan w specjalnej rozmownicy więziennej na placu St. Denis.

Pani Wiktorya, zacna matrona z ulicy św. Łazarza, nie bardzo korzystnie wyglądała w tem nowym, niepożądanym otoczeniu. Życie więzienne nie służyło jej. Cerk miała żółtą, a twarz jej, rozlana i zmęczona, przybrała jakiś niemły, odpychający wyraz. W oczach tylko, silnie podkrążonych, palił się ogień zaciętej złości i lęku.

Pani Wiktorya za dni kilka miała się stawić przed sądem przysięgłych i myśl ta, nieznosna, nie dawała jej spokoju. Spotkała ją przytem niedawno nieukożona przykreść: Panna Amelia, jej pierwsza podręczna i współpracownica, która dotrzymywała jej dotąd towarzystwa, została na rozkaz policyi wysłana do miejsca urodzenia, bez pozwolenia powrotu do Paryża. Pani Collin Megret była więc sama w swojej celi więziennej. I to było dla niej straszne! Nie mieć nikogo przy sobie, przed którym mogłaby się pożalić, wygadać do woli i pokłócić.

Allana le Brenn przeszył dreszcz obrzydzenia, który natychmiast zamaskował grzecznym uśmiechem, kiedy ujrzał wchodzącą do rozmownicy wstrętą tę istotę o rozlanem ciele. Z głuchym westchnieniem usiadła ciężko na ławce, zaciekawiona, czego od niej chcieć znowu mogą.

— Proszę mówić cicho. — ostrzegł ją Allan — Nie jestem urzędnikiem policyjnym, choć mam znajomości w tej sferze. Przychodzę z polecenia Andrzeja Delrue.

— Andrzeja Delrue? — przestraszyła się pani Wiktorya — Nie znam takiego pana.

— Może pani sobie przypomni.

— Nie przypomnę, bo nie znam — upierała się.

Allan wzruszył ramionami i powolnym ruchem wyciągnął z kieszeni dobrze wypchany portfel. Pani Wiktorya patrzyła zdziwiona. Ludzie z policyi nie postępują w ten sposób...

— Sprawy pani tylko ją osobiście obchodzić mogą — wyrzekł Allan spokojnie. — Chciałem tylko pani powiedzieć, że Delrue jest na wolności i jest bogatym. A pani, zdaje się, cierpi niewygody wszelakie tutaj i braki, nieprawdaż?

— A więc ten pan, który tu pana przysłał, jest bogaty, aż tak bogaty?

— Tak. Obecnie bardzo dobrze mu się powodzi. I pomyślał o pani... to całkiem naturalne...

— Zapewne.

— Ponieważ, jako adwokat, mam tu wejście wolne, więc podjąłem się tej misji.

— Nie odmawiam. Ten pan, jakże to pan go nazwał?

— Delrue — powtórzył cierpliwie Allan. — Może pani mi zupełnie zaufać. Nie pytam przecież o nic panią.

— Dobrze. Ten pan Delrue, jak widzę, chce mi zwrócić pieniądze, które mi winien.

— Zdaje mi się, że dostatecznie to pani wyjaśniłem. Pospieszmy się. Minuty naszej rozmowy są policzone. Złotnica czeka, a dozorca z pewnością niedaleko się znajduje. Proszę! Niech pani weźmie szybko ten banknot tysiącfrankowy i schowa go pieszniej jeszcze.

Pani Wiktorya, pomimo ostrzeżenia Allana, roześmiała się dosyć głośno.

— Tysiąc franków! Zdaje mi się, że pan sobie żartuje ze mnie. Dlaczego nie pięć? Och! ten pan Delrue nie jest bardzo wspaniałomyślnym, jak widzę! Zawsze ten sam sknera.

— Ach! To go sobie pani przypomniała przecież? Pamięć pani powraca? Zdaje się, że się porozumiemy wkońcu.

— To jest — jąkała się pani Wiktorya — że jest ktoś tego imienia, który mi winien więcej niż dziesięć tysięcy franków, a to już urosło do dwudziestu tysięcy z procentami. Nie wiem, czy mnie pan rozumie?

— Doskonale. Historia Janiny, Bretonki, która nieszczęśliwie się dla pani zakończyła. Ale cierpliwości trochę, moja pani, jeszcze nadejdą dobre dni.

— Kiedy, mój Boże! Te tysiąc franków pana, co to jest? Nędza, nic więcej!

— Nie moje, tylko Andrzeja Delrue. Myślał, że nieostrożnie byłoby dawać pani tutaj, w więzieniu. Mogą panią zrewidować, zakwestyonować te pieniądze.

— Powiedz pan lepiej, że boi się, aby nie został wykrytym i zaaresztowanym i że chciałby załagodzić swój dług tym drobniakiem.

— Przepraszam panią, jestem adwokatem i muszę stanąć w jego obronie. O co to nas mają oskarżyć i za co zaaresztować?

— O co? Wiem z pewnością, że wszystko na nas zrzuci, a sam się oczyści. A przecież to była jego myśl, nie moja, oskarżyć tę dziewczynę i przedstawić ją w oczach tamtego za najgorszą. Czy to on, czy ja urządziłam tę nocną scenkę, na którą się ten głupiec złapał i uwierzył?

— Niech mi pani na to da dowody. Czy to pani przyciągnęła do siebie Janinę pod pozorem pracy, czy on?

Pani Wiktorya, sama nie wiedząc kiedy, wpadła w zastawione na nią przez Allana sidła i mówiła dalej gorączkowo, pod wpływem nienawiści do swojego współnika.

— To była przysługa, uczyniona temu panu przyjacielowi. Do dyabła! Umiał się zrećnie urządzić ten gagatek! Wszystkich wyprowadził w pole. I markiz i baron wpadli, a on w każdym razie jest w posiadaniu swojego sfałszowanego kwitu.

— Sfałszowanego kwitu? Przepraszam panią — zaprotestował Allan — temu muszę zaprzeczyć.

— Dobrze, dobrze — syknęła wymijająco pani Wiktorya. — Występuj pan dalej w roli słomianego adwokata. Wiem, co mówię. Delrue także. Zapytaj się go pan, kiedy go zobaczysz.

— Och! On teraz jest tak daleko... w podróży. Więc pani odrzuca ten ładny banknocik... szkoda, to tylko początek, zaliczka.

Pani Wiktorya pochwyciła skwapliwie banknot i schowała go za stanik, mruczając gniewnie:

— Nie powiedziałam, że nie biorę, ale nie jako zaliczka na ten dług! To się nie liczy, mój panie. To zaledwie wyniesie zaległości za procent i jaki nędzny jeszcze! Czy pan nie wie, że jesteśmy teraz zrujnowani do ostatniego centa?

— E! nie wierzę. Musi pani mieć dobrze schowaną okragłą sumkę gdzieś na boku. Nie lękam się o los pani, kiedy uwolnią panią stąd.

Pani Wiktorya zbyła te słowa ostrożnym milczeniem.

Ten przyjaciel Andrzeja Delrue, działał jej na nerwy. Banknot, otrzymany od niego, utwierdził ją w przekonaniu, że nie może być tajnym agentem i konfidentem policyi.

Allan spostrzegł, że nie pociągnie ją do szerszych zwierzeń, a pilno mu było odwiedzić pana Collin-Megret w jego celi.

— Czy pani nie ma jakiego polecenia dla naszego przyjaciela Andrzeja Delrue — zapytał podstępnie.

— Dla niego! Jeszcze by też! Niech się strzeże, jeżeli nie zechce do końca z nami uczciwie postępować! Jeszcze się odnajdziemy! Świat szeroki! Ah! kanalio! Ładnie nas urządził, niema co mówić!

— Niech się pani nie denerwuje — ostrzegł, śmiejąc się Allan. — Wywiązałem się z danego mi polecenia, a teraz muszę panią niestety pożegnać. Jesteśmy skwitowani, jak sądzę!

— Skwitowani?! — oburzyła się pani Wiktorya. Zobaczmy! Żądam dwadzieścia tysięcy za odszkodowanie i odbiorę je, bądź pan pewny! Ja znam dosyć pomysłów tego pana Delrue i jego samego do tego.

— A myśli pani, że i ja nie mam nieprzyjemności? No, powodzenia, a korzystaj pani ze sposobności i wypocznij należycie! Żegnam.

Allan pełny niesmaku i wstrętu oddalił się spies-

znie, pozostawiając zacną matronę, mruczącą za nim z wściekłością:

— Ten podły Delrue! Posyła mi tego idyotę, by mi rzucić jałmużnę i naigrawać się z mojej niedoli. Poczekaj, ptaszku! Jeżeli ty myślisz, że nie potrafię się zemścić na tobie za to, że tu siedzisz muszę...

Allan wsiadł do automobilu i rzucił szoferowi:

— Do głównego więzienia i spiesznie, bo nie lubię, kiedy moi najlepsi przyjaciele oczekują mnie z niecierpliwością.

Mając przed oczami akta kryminalne pani Wiktoryi i pana Collin Megret, Allan dowiedział się, że ten ostatni był eks notaryuszem i zbankrutowanym kupcem, niejakim Locquerelem, mającym wiele nieczystych spraw na sumieniu. Pomimo to jednak przeczuwał trudność porozumienia się z nim.

Pan Collin-Megret odpornym musiał być naleźćcie i dobrze poinformowanym o wszystkim... Przytem we własnym interesie mógł oszczędzać współnika, który mógł się stać jedyną deską zbawienia, w razie, gdyby go wypuszczono z więzienia. Istoty tego rodzaju nie szkodzą sobie wzajemnie.

Pani Wiktorya za wiele powiedziała, ale uniósł ją gadatliwy temperament kobiety i żal za niepowrotnymi stratami pieniężnymi. Co zaś do pana Collin-Megret gra będzie trudniejsza. Stary lichwiarz będzie się miał na ostrożności, przebiegły i wyrachowany.

W korytarzu więziennym rozległo się echo monotonnego głosu:

— Numer 257 do specjalnej rozmownicy. Natychmiast go doprowadzić!

Szmer ciężkich kroków, zgrzyt klucza w zamku w wyższej galerii i po chwili niskiego wzrostu człowiek wychodzi z celi i spiesznie zbiega ze schodów.

Dozorca pochyła się przez poręcz i woła do stojącego na dole.

— Numer 257. Proszę odebrać!

Pan Collin Megret, poważny wydawca „Przewodnika światowego“, zostaje wepchnięty do niewielkiej okratowanej klatki, gdzie po tamtej stronie krat oczekuje już na niego Allan.

— Kogo mam przyjemność widzieć? — zapytuje z powagą pan Collin Megret, starając się poprzez gęste kraty rozpoznać rysy gościa.

— Doktor Allan — brzmiał odpowiedź,

— Z kancelarii adwokackiej z Paryża? — Pyta z niewiarą stary lichwiarz.

Allan skłonił się w milczeniu.

— Wybrałem już obrońcę — zauważył Collin-Megret.

— Wiem o tem. To też nie przychodzę ubiegać się o zaszczyt bronienia pana. Tytuł adwokata dozwolił mi dostać się do pana. Jeżeli przemawiać będę za kimś w tej sprawie, to tylko za panem Andrzejem Delrue, klientem moim.

— Ah! Pan Delrue jest pana klientem?

— Prawie przyjacielem.

— Bardzo mi przyjemnie. Był urzędnikiem moim.

— I jakby to powiedzieć... dostawcą w pewnej kombinacji nieudanej?

— Mówi pan językiem niezrozumiałym dla mnie, niestety.

— Doprawdy? — Wyrażę się więc jaśniej.

— Proszę pana. Głowę mam dosyć słabą.

— Sądzę przeciwnie.

— To zależy.

— Mój klient winien jest panu, jakoteż pani Wiktoryi, byłej modystce, sumę dziesięciu tysięcy franków za utrzymanie Janiny le Brenn — i resztę. Czy zaczyna pan rozumieć?

— Słyszę pana w każdym razie. Zechciej pan mówić dalej. Mówi pan złotymi słowami, co jest rzeczą tak cenną, jak i milczenie. Tak przynajmniej mówią... ja nie twierdzę.

— Ja zaś twierdząc, co następuje, że pan Delrue gotów jest do wypłacenia tej sumy.

— To bardzo uczciwy człowiek.

— Tak czynią ludzie, którzy znają także cenę milczenia i oceniają ją należyte.

— To się zazwyczaj płaci osobno. Nie trzeba mieszać faktów, bo inaczej zgubić się w nich można. Pan mówi, że pan Andrzej Delrue winien mi jest dziesięć tysięcy franków. Sądzę, że ma je pan w swoim posiadaniu, chociaż miejsce nie jest bardzo stosowne do odbioru pieniędzy.

Allan otworzył niewyczerpany swój portfel.

— Widzę, że ma pan o wiele więcej — zauważył pan Collin-Megret z nagłym błyskiem w oczach. — Ale może nie będzie tego za wiele dla mnie. On mi jest tyle winien!

(Dalszy ciąg nastąpi).